

# NIEŁATWY DZIEŃ

PIERWSZA  
I JEDYNA RELACJA  
KOMANDOSA  
SIŁ SPECJALNYCH  
NAVY SEALS  
KTÓRE DOPROWADZIŁY DO ŚMIERCI  
OSAMY  
BIN LADENA

MARK OWEN  
WSPÓŁPRACA KEVIN MAURER



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).

PIERWSZA I JEDYNA RELACJA KOMANDOSA  
SIŁ SPECJALNYCH NAVY SEAL, KTÓRE  
DOPROWADZIŁY DO ŚMIERCI OSAMY BIN LADENA

# NIEŁATWY DZIEŃ

*Autobiografia komandosa Navy SEAL*



Mark Owen  
współpraca Kevin Maurer

Przełożył  
Łukasz Małecki

Wydawnictwo Literackie



Kraków 2012

# Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Prolog: Chalk One

Przypisy

Tytuł oryginału: NO EASY DAY

Opieka redakcyjna: PAWEŁ CIEMNIEWSKI

Konsultacja: MARCIN RAK

Redakcja: BARTOSZ SZOŁUCHA

Korekta: ANNA DOBOSZ, EWA KOCHANOWICZ

Fotografie zamieszczone w książce pochodzą z archiwum autora

Mapy: TRAVIS RIGHTMEYER

Zdjęcia wykorzystane na okładce: NRA Life of Duty/Alamy/Shutterstock

Komputerowe opracowanie okładki na podstawie oryginału: ROBERT KLEEMANN

Redaktor techniczny: BOŻENA KORBUT

Skład i łamanie: Infomarket

Copyright © Mark Owen, 2012

Wszelkie prawa zastrzeżone, w tym prawo do reprodukcji w całości lub w części w jakiegokolwiek formie. Niniejsze wydanie opublikowano w porozumieniu z wydawnictwem Dutton, oddziałem Penguin Group (USA) Inc.

© Copyright for the Polish translation by Wydawnictwo Literackie, 2013

ISBN 978-83-08-05056-9

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 430 00 96

e-mail: [ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl](mailto:ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl)

Księgarnia internetowa: [www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

*Jedyny łatwy dzień był wczoraj*

– filozofia Navy SEALs.

*Niech żyje Braterstwo.*



## PROLOG

# Chalk One<sup>[1]</sup>

Marzyłem o tej misji, odkąd 11 września 2001 roku, stacjonując na Okinawie, ujrzałem ataki na ekranie telewizora. Właśnie wracałem z ćwiczeń i dotarłem do koszar w chwili, gdy drugi samolot wbił się w World Trade Center. Nie potrafiłem oderwać wzroku od kuli ognia, która wystrzeliła z wieży, i kłębow gęstego dymu unoszących się w powietrzu.

Podobnie jak miliony obywateli Stanów Zjednoczonych gapiłem się na tę scenę z niedowierzaniem i poczuciem beznadziei ciężącym w żołądku. Resztę dnia spędziłem przed telewizorem, a mój umysł próbował zrozumieć to, co właśnie się stało. Jedna katastrofa lotnicza mogła być wypadkiem, ale napływające wiadomości potwierdziły to, o czym sam byłem przekonany, gdy w kadr wleciał drugi samolot. Dwa samoloty oznaczały atak, nie miałem co do tego wątpliwości. Niemożliwe, żeby to był wypadek.

Tego dnia byłem na swojej pierwszej zmianie już jako komandos Navy SEALs. Gdy tylko wypłynęło nazwisko bin Ladena, uznałem, że nawet jutro możemy zostać wysłani do Afganistanu. Przez półtora roku nieustannie się szkoliliśmy. Ostatnie miesiące spędziliśmy na ćwiczeniach w Tajlandii, na Filipinach, w Timorze Wschodnim i Australii. Oglądając ataki, żałowałem, że jestem na Okinawie, a nie w górach Afganistanu. Nie mogłem przeboleć, że nie poluję na bojowników Al-Kaidy i nie mszczę się za to, co nam zrobili.

Problem polegał na tym, że nikt się po nas nie zgłosił.

Byłem sfrustrowany. Nie po to szkoliłem się tak długo w wyjątkowo ciężkich warunkach na komandosa Navy SEALs, by teraz patrzeć na wojnę w telewizji. Oczywiście, nie zamierzałem przenosić frustracji na rodzinę i przyjaciół. Pisali do mnie z pytaniami, czy lecę do Afganistanu. Byłem członkiem elitarniej jednostki i dla nich wydawało się czymś absolutnie logicznym, że natychmiast zostaną tam przeniesiony.

Pamiętam, że wysłałem e-maila do mojej dziewczyny, starając się zamienić całą tę sytuację w żart. Rozmawialiśmy o zakończeniu zmiany i planowaliśmy, jak spędzimy czas po moim powrocie do

domu, a przed następnym powołaniem.

– Został mi jakiś miesiąc – pisałem. – Niedługo wrócę, chyba że najpierw będę musiał zabić bin Ladena.

W tamtym czasie podobne dowcipy cieszyły się sporą popularnością.

A teraz, gdy śmigłowiec leciał w stronę celu, rozpamiętywałem ostatnie dziesięć lat. Od dnia zamachu na World Trade Center chłopaki z branży nieustannie marzyli, by wziąć udział w podobnej operacji. Osama bin Laden, przywódca Al-Kaidy, uosabiał wszystko, z czym pragnęliśmy walczyć. To właśnie ten człowiek inspirował swoich zwolenników, by w samobójczych atakach kierowali samoloty na budynki pełne cywili. Ten rodzaj fanatyzmu przerażał nas, a gdy oglądałem sprawozdania z zamachów w Nowym Jorku, Waszyngtonie i Pensylwanii, wiedziałem, że nasz kraj walczy w wojnie – wojnie, której sami nie wybraliśmy. Wielu odważnych ludzi przez lata poświęcało w niej swoje życie, choć nikt nie miał pewności, czy dostaniemy szansę zwieńczenia jej w misji takiej jak ta, która właśnie się rozpoczęła.

Dzisiaj, po dziesięciu latach od ataku na WTC i ośmiu polowaniach na przywódców Al-Kaidy, zaledwie kilka minut dzieliło nas od zjazdu po linie do siedziby Osamy bin Ladena.

Chwyciwszy za linę przywiązaną do kadłuba Black Hawka, poczułem, że w palcach u stóp wreszcie wraca mi krążenie. Snajper obok ześlizgnął się na swoje miejsce, z jedną nogą wiszącą na zewnątrz, a drugą w śmigłowcu, dzięki czemu w wąskim przejściu zrobiło się trochę więcej miejsca. Lufa jego broni szukała celów. Jego zadanie polegało na zabezpieczeniu południowej strony rezydencji, gdy zespół szturmowy będzie zjeżdżał po linach na dziedziniec i rozdzielać się do wyznaczonych celów.

Dzień wcześniej nikt z nas nie wierzył, że Waszyngton zatwierdzi tę operację, ale w końcu, po tygodniach oczekiwania, dostaliśmy zielone światło. Jeszcze tylko kilka minut... Wywiad twierdził, że bin Laden jest na miejscu. Też tak sądziłem, choć nic nie było w stanie mnie zaskoczyć. Już kilka razy wydawało się nam, że prawie go mamy.

W 2007 roku spędziłem tydzień na tropieniu plotek. Dostaliśmy raport, zgodnie z którym bin Laden wracał z Pakistanu do Afganistanu, by przygotować się do ostatecznej akcji. Nasze źródło twierdziło, że w górach widziano człowieka w „długich białych szatach”. Ostatecznie okazało się, że zmarnowaliśmy tygodnie przygotowań, żeby uganiać się za cieniami. Tym razem miałem inne przeczucia. Przed wylotem analityczka CIA, która stanowiła główny motor napędowy poszukiwań, powiedziała mi, że cel na sto procent jest w Abbottabadzie. Miałem nadzieję, że to prawda, ale doświadczenie mówiło mi, że z wyrokiem lepiej wstrzymać się aż do zakończenia misji.

Teraz zresztą nie było sensu tego roztrząsać. Za kilka sekund mieliśmy się znaleźć w punkcie docelowym – ktokolwiek tam mieszkał, czekała go ciężka noc.

Przeprowadzaliśmy podobne szturmowe operacje niezliczoną ilość razy. Przez ostatnie dziesięć lat brałem

udział w misjach bojowych w Iraku, Afganistanie i na Półwyspie Somalijskim. Wchodziliśmy w skład zespołu, który w 2009 roku odbił z rąk somalijskich piratów Richarda Phillipsa, kapitana kontenerowca „Maersk Alabama”. Działiałem wcześniej także na terenie Pakistanu. Z taktycznego punktu widzenia operacja, jaką mieliśmy przeprowadzić dzisiejszej nocy, nie różniła się niczym od dziesiątek podobnych wcześniejszych misji. Miałem nadzieję, że pod względem historycznym różnica będzie ogromna.

Kiedy złapałem za linę, ogarnął mnie wewnętrzny spokój. Wszyscy, którzy lecieli w śmigłowcu, słyszeli sygnał „minuty do celu” tysiące razy i od tej chwili nasze działania nie różniły się od tego, co robiliśmy w przeszłości. Wychylony przez drzwi, zaczynałem dostrzegać punkty orientacyjne, które znałem na pamięć ze zdjęć satelitarnych. Nie byłem przypięty do śmigłowca liną zabezpieczającą, więc Walt, kolega z zespołu, trzymał rękę na nylonowym uchwycie z tyłu mojej kamizelki. Pozostali tłoczyli się za mną, gotowi do zejścia. Ci, którzy siedzieli przy prawych drzwiach, mieli dobry widok na Chalk Two z drugim transportem zmierzającym do strefy lądowania.

Gdy tylko minęliśmy południowoschodnią ścianę zabudowań, śmigłowiec wypuścił flary i zawisnął nad wyznaczonym punktem lądowania. Spoglądając niemal dziesięć metrów w dół, widziałem pranie trzepoczące na sznurach. Pył i ziemia z wirników chłostały dywany wywieszzone do suszenia. Po dziedzińcu fruwały śmieci, a w pobliskiej zagrodzie kozy i krowy rzucały się, wystraszone hałasem.

Wisieliliśmy dokładnie nad domkiem dla gości, gdy śmigłowiec zakołysał się w powietrzu. Piloci mieli jakieś problemy z utrzymaniem maszyny na pozycji, która chwiała się między dachem domku a murem otaczającym rezydencję. Zerknąwszy w stronę szefa załogi, zobaczyłem, że przyciska mikrofon do ust i przekazuje pilotowi wskazówki.

Mimo to śmigłowiec wciąż się huśtał, próbując znaleźć wystarczającą ilość powietrza, by zawisnąć na pozycji; niezbyt gwałtownie, wiedziałem jednak, że nie mieliśmy tego w planach. Pilot walczył ze sterami. Coś było nie w porządku. Nasi piloci wykonywali takie manewry tyle razy, że zatrzymanie Black Hawka nad celem było dla nich równie proste co zaparkowanie samochodu.

Wpatrując się w zabudowania, rozważałem, czy nie zrzucić liny, żeby jak najszybciej wydostać się z niestabilnej maszyny. Wiązało się to z pewnym ryzykiem, ale w tej chwili dotarcie na ziemię stanowiło priorytet. Zablokowany przy drzwiach, nie mogłem nic zrobić. Potrzebowałem tylko odrobiny wolnego miejsca na ziemi, by zrzucić linę.

Niestety, miejsca nie było.

– Zawracamy, zawracamy! – usłyszałem przez radio, co oznaczyło, że pierwotny plan zjazdu na linie trafił szlag. Teraz musieliśmy okrążyć rezydencję od południa, posadzić maszynę i zaatakować od strony zewnętrznych murów. Operacja potrwa przez to dłużej, co pozwoli ludziom ukrytym w rezydencji przygotować się na atak.

Na chwilę uszło ze mnie powietrze.

Aż do momentu, gdy usłyszałem komendę zawracania, wszystko szło zgodnie z planem. Uniknęliśmy pakistańskich radarów i pocisków przeciwlotniczych i dotarliśmy do celu niezauważeni, a teraz mogliśmy zapomnieć o zrzucie. Ćwiczyliśmy na wypadek takiej możliwości, ale musieliśmy przejść do planu B. Jeżeli cel naprawdę znajdował się w rezydencji, zaskoczenie stanowiło klucz do sukcesu. Właśnie straciliśmy tę przewagę.

Gdy piloci próbowali podnieść maszynę z niestabilnego zawisu, śmigłowiec gwałtownie obrócił się w prawo o dziewięćdziesiąt stopni. Poczułem, jak ogonem szarpnęło. Nagły manewr zaskoczył mnie i natychmiast zacząłem szukać jakiegoś uchwytu w kabinie, żeby nie ześliznąć się przez otwarte drzwi na dół.

Tyłek zjeżdżał mi po podłodze i przez ułamek sekundy w mojej piersi narastała panika. Puściwszy linę, próbowałem wdrapać się do kabiny, ale w drzwiach nie było już miejsca. Ręka Walta mocniej zacisnęła się na mojej kamizelce. Drugą trzymał się snajpera. Odchyliłem się najmocniej, jak potrafiłem. Walt prawie na mnie leżał, żebym nie wypadł.

Ja pierdolę, chyba spadamy, pomyślałem w tamtej chwili.

Nagły obrót sprawił, że maszyna spadała bokiem, a drzwi, w których wisiałem, znalazły się na przedzie. Patrzyłem prosto na zbliżający się szybko mur rezydencji. Silniki, które do tej pory wydawały się szumieć, ryczały w górze jak szalone. Próbowały zmusić powietrze do posłuszeństwa, by utrzymać nas nad ziemią.

Wirnik ogonowy o włos minął domek dla gości, gdy Black Hawk osunął się jeszcze bardziej w lewo. Przed misją żartowaliśmy z kumplami, że nasza maszyna na pewno się nie rozbije, bo każdy z nas brał już udział w kraksach śmigłowców. Byliśmy przekonani, że jeśli któraś z maszyn spadnie, to raczej Chalk Two.

Stany Zjednoczone poświęciły tysiące, ba, miliony roboczogodzin, by doprowadzić do tej chwili, a tymczasem wszystko wskazywało na to, że nasza misja ostro się popieprzy, zanim jeszcze zjedziemy na ziemię.

Jeszcze raz spróbowałem podciągnąć nogi i wepchnąć się głębiej do kabiny. Wiedziałem, że jeśli spadniemy na bok, możemy przekoziółkować, a wtedy moje nogi utkną pod kadłubem. Odchyliwszy się do oporu, przyciągnąłem kolana do piersi. Tuż obok snajper próbował uwolnić z drzwi własną nogę, ale w śmigłowcu brakowało miejsca. Tak jak ja, był bezsilny; mógł tylko liczyć, że maszyna nie przewróci się i nie odetnie mu kończyny.

Czas zwolnił bieg. Starłem się odepchnąć wizję zmiżdżenia. Z każdą sekundą ziemia była coraz bliżej. Czułem, jak całe moje ciało spina się w oczekiwaniu na nieuniknione zderzenie.

---

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki

---

# Przypisy

[\[1\]](#) Kryptonim „chalk” (pol. „kreda”) na oznaczenie transportu powietrznego pochodzi z czasów drugiej wojny światowej, podczas której spadochroniarze aliantów oznaczali numer swojego transportu kredą na plecach (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).